

Chałat



WIKTOR TEOFIL GOMULICKI

Chatat

Aż do samej Jabłonny szło wszystko jak najlepiej. Słońce jasno przyświecało; konie biegly żwawym truchtem; podróżni, ściskając się na małej przestrzeni, nawzajem ciepła sobie udzielali.

Czasem tylko ktoś wstrząsnął się, szczerzej futrem otulił i przez zęby mruknął:

— Ależ psie... dyabelskie... siarczyste mrozisko!

Wszyscy (z wyjątkiem mnie) palili; większość pociągała dość często z oplatanych i nieoplatanych, płaskich i pękatych butelek.

„Humory” były wyśmienite. Opowiadano anegdotki, wybuchano śmiechem. Rej wodził młodzieniec z „kozią” bródką, z wąsami, których końce, dzięki pomadzie węgierskiej, posiadały piękny kształt „mysich ogonków”.

Młodzieniec był ubrany niezwykle. Miał na sobie ogromny kozuch barani, na nogach buty z cholewami lakierowanymi, na głowie lekki, filcowy kapelusz barwy zielonej.

Jego stanowisko społeczne nie było dla nikogo tajemnicą. Jeszcze w Warszawie, za ledwie zdążył wsrubować się pomiędzy czerwono-fioletowego dzierżawcę i pomarańczowo-szkarłatną gospodynię proboszcza, natychmiast przedstawił się współpodróżnym jako „farmaceuta”.

Nie wiem czemu, przy końcu każdego ze swych opowiadań, zwracał się on zawsze do mnie, i mrużąc filuternie oko, zapytywał:

— Nieprawda, kolego?

Przytakiwałem głową w milczeniu, trochę dumny a trochę zmieszany brataniem się zemną tak odznaczającej się osobistości.

Miałem lat piętnaście, a więc byłem w wieku, gdy człowiek sam nie wie: z kim towarzystwo trzymać, do jakiej zaliczać się „kategorii?”

Miałem lat piętnaście i tytuł szóstoklasisty. To również tytuł i stanowisko nieokreślone. Nauczyciele mówią ci „panie” — a ładne dziewczęta, na które ośmielasz się zerknąć na ulicy, mianują cię głośno: „sztubakiem”, „syczorykiem” i z wyraźnym lekceważeniem śmieją ci się prosto w oczy.

Dopiero od kwartału uczyłem się w Warszawie, i te święta były pierwsze, na które z pomiędzy obcych spieszyłem do swoich. Spieszyłem najszybciej jak mogłem i właśnie dla tego pośpiechu, który mnie o gorączkę przyprawiał, uprzedziłem o całą dobę termin wyjazdu, przez rodziców wskazany.

Myśl, że za kilkanaście godzin swój dom i swoje miasto zobaczę, przyprawiała mnie o gorączkę — grzała mnie pro prostu — i to była właściwie moja jedyna ochrona przed zimnem, któremu nader słabą zaporę stawiały: lekki, „wiatrem podszyty” szynel, szalik włóczkowy i gumowe na zwykłych „kamaszkach” kalosze.

Gdybym miał cierpliwość czekać do dnia następnego, przysłanoby mi z domu futro, koc na nogi i berłacz. Prócz tego, pojechałbym zamkniętą kareta pocztową, w towarzystwie najdobrzańszych „pasażerów” i „pasażerek”, przy różnych dźwiękach trąbki, budzącej echa leśne.

Niestety! odkładać na dwadzieścia cztery godzin rozkosz, przez cały kwartał marzoną, przechodziło moje siły. Rzecz to znana, że w epoce, gdy człowiek ma przed sobą życie całe, bywa najniecierpliwszy i najtrudniejszą dlań rzeczą — czekać.

Ta niecierpliwość sprawiła, że zamiast we środek na Przedmieściu Krakowskim, przed „Starą Poczta”, znalazłem się we wtorek na ulicy Wałowej vel Wołowej, wśród obszernego dziedzińca zajazdu „pod Jeleniem”.

Tam znajdowała się główna stacja omnibusów, bryk krytych i otwartych, które przedsiębiorcy żydowscy wysyłali na wszystkie trakty, współzawodnicząc zwycięsko z pocztą i kolejami żelaznymi. Tam jedno z miejsc naczelnych zajmował Josek, utrzymujący stałą komunikację osobowo-towarową pomiędzy Warszawą a miastem P., — do którego mnie właśnie droga wypadła.

Z tym więc Joskiem jechałem — na wielkiej, odkrytej, trzęsącej, brzęczącej, ludźmi oraz towarami wyładowanej i przeładowanej bryce.

Nie poszło to z łatwością; nie obyło się bez ofiary. Aby traktować z Joskiem, na jego brykę sięść i w sposób tak prostacki do domu jechać, musiałem zadać gwałt wielu swym, jeśli nie przekonaniom — to upodobaniom.

Ale te upodobania były w owym czasie nadzwyczaj wykwintne. Przechodziłem okres „estetyzmu”, byłem rozmiłowany w pięknych kształtach, w zewnętrzności wytwornej, we wrażeniach przyjemnie oddziaływających na duszę.

Ten stan nie jest osobliwością u chłopców i dziewcząt w epoce dojrzewania — u mnie tylko wystąpił nieco wcześniej, niż u rówieśników.

Byłem w owym czasie wybredny w jedzeniu, w odzieży, w stosunkach z ludźmi. Poszukiwałem ciastek o nadzwyczajnym smaku; używałem mydła i pomady z niezwyklejmi zapachami; nakładałem czapkę przed zwierciadłem; nosiłem rękawiczki.

Kilku zaledwie z liczego grona kolegów dopuściłem do poufałości. Byli to uczniowie, celujący albo nauką, albo tytułem rodzinnym, albo wytwornością. Doszedłszy do przekonania, że złe stopnie są rzeczą nieestetyczną, zrobiłem się uczniem pilnym i dążyłem wytrwale do zdobycia nagrody.

Upajała mnie poezya, ale tylko pięknie rymowana. Dzwoniły mi w uszach dumki i szumki Bohdana Zaleskiego; powtarzałem sam przed sobą, często na ulicy, wśród turkotu kół i wrzawy rozmów, strofy w rodzaju następującej:

Złote słońko do gospody
Zaszło do snu złożyć skroń;
Mgły wilgotne wstają z wody,
Z łąk rozkoszna wstaje woń;
W wieńcu gwiazd,
W płaszczu chmur,
Cicha noc
Schodzi z gór...

Piękny obraz, ładna rycina o dreszcz mię przypawiały. Codziennie, wracając ze szkoły, zatrzymywałem się przed wystawą obraźnika, przyglądając się z rozkoszą tym samym wiecznie sztychom i chromolitografiom.

Brzydota pod wszelką postacią była mi nienawistna, sprawiała cierpienie prawie fizyczne. Nie byłem w stanie uczyć się z książki brudnej, źle opravionej, niedbale drukowanej. Stare, szpetne twarze działały na mnie odpychająco. Rozmawiając z brzydką służącą, starałem się nie patrzeć na nią. Gdy obdarzał zebrała, czyniłem to zawsze z przymkniętymi oczyma, rzucając pieniąż z pewnej odległości, aby nie dotknąć wypadkiem brudnej dłoni, palców czarnych, pokurczonych.

Wstrętny był mi zwłaszcza gmin żydowski. Ponieważ do szkoły wypadło iść przez Grzybów, wstawiałem wcześniej i nakładałem duży kawał drogi, aby tylko uniknąć ocierania się o czern chałatową...

Jakąż mękę dla takiego estety stanowić musiał stosunek z Joskiem, który był brzydki i brudny, i od którego zdaleka zalatywały: cebula i pot koński!

Mimo wszystko, trzymiłową przestrzeń od Warszawy do Jabłonny przebyliśmy dość szczęśliwie. Mróz był bo był, kąsał bo kąsał — ale od natłoczonej masy ciał i futer płynęły ciepłe prądy, które ostrość zimna łagodziły. Przytem, co najważniejsze, mieliśmy wiatr za sobą.

Najgorzej było z pakunkami, którymi Josek wyładował przód, tył, boki i spód swego rozłożystego pojazdu. Tuż za moimi plecami trzęsła się w słomie wielka głowa cukru, niby stożkowy pocisk armatni, którego cieńszy koniec wprost we mnie był wymierzony. Co pewien czas ten pocisk uderzał mię pod łopatkę, to słabiej, to silniej, jakby chciał

powoli prześwidrować na wylot. Zrozumiałem wówczas, co czuje owad, gdy go małeletni miłośnik przyrody tępą szpilką przewierca.

Odpozynek w Jabłonce pogodził mię częściowo z losem. Przez godzinę przeszło siedziałem w ciepłej izbie zajazdu, nie czując za sobą głowy cukru, nie widząc przed sobą rozczochranej głowy Joska i jego wielkiej, zatłuszczonej, obszarpanej czapy.

Tę izbę bardzo lubilem. Wydawała mi się zawsze uroczyście piękna, niby sala w starym zamku, niby kaplica. O każdej porze roku i dnia panował w niej półmrok. To właśnie sprawiało ów nastrój uroczysty. Nie słyszało się tam nigdy krzyków pijackich ani wybuchów głośniego, mazurskiego śmiechu. Podróżni zachowywali się milcząco, przyzwoicie, powściągliwie, jak w poczekalniach kolejowych pierwszej i drugiej klasy.

Na „bufecie”, mrocznym, poważnym, jak stalle kanonickie, stały wielkie ptaki wypchane. Za bufetem siedziała piękna, blada, dostojnie smutna kobieta. Wydawała służbie rozkazy, poruszając jedynie ustami; głosu jej nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć. Otaczały ją naczynia dziwnych kształtów, ze srebra, brązu, kryształu; pęki suchych traw i kwiatów tkwiły obok niej w ciemnych wazonach, hipnotyzując swym sennym, sztywnym bezruczem. Dzwonek, poruszany ręką tej kobiety, wydawał dźwięki nadzwyczajne: brzmiał jęklonie, tajemniczo, nabożnie, jak północne dzwonicie w pustelni Kamedułów...

Tak przynajmniej przedstawiało się to wszystko wówczas moim zmysłom i mojej wyobraźni.

Nastrój podniosły wzmagały dwie okoliczności, bardzo odmiennego rodzaju.

Najpierw, całą Jabłonnę wypełniała dla mnie światowo-rycerska postać księcia Józefa Poniatowskiego. Z okna izby zajazdnej przyglądałem się bramie żelaznej, wiodącej do jego niegdyś parku. Przy podjeździe leżały tam dwie olbrzymie kule kamienne; przez kratę było widać zwężającą się perspektywicnie aleję nagich, skostniałych od mrozu, drzew parkowych. Zdawało mi się nieraz, że z mgły, przesłaniającej głębię parku, wysuwa się bez szmeru biały łabędź sani książęcych, a na nim młodzieniec w burce, z małymi na rumianej twarzy „bakenbardami”, z oczyma ciskającymi błyskawice...

Drugą, podniecającą mnie okolicznością, był fakt, czy też pogłoska, że „austery” w Jabłonce trzymają dwie siostry — baletnice. Dla piętnastoletniego estety, baletnica, *ballerina*, była czemś prawie nadziemskim. Zaprowadzono mnie raz do teatru na balet „czarodziejski”, i wyrobiłem sobie wówczas przekonanie, że baletnica jest czemś pośrednim pomiędzy Mickiewiczowską Świtezianką a Wergiliuszową Nimfą...

Ciemne, wysokie drzwi lekko skrzypnęły; ukazał się Jasek, granatowy od zimna, w długiej, obszarpanej opończy, z wielkim biczem w ręce.

Pokornie stanął przy progu, bicz z ręki do ręki przelożył, zakaszłał...

— Żymnoo... — wyrzekł przeciągle, drżąc, zwracając mowę razem do wszystkich i do nikogo.

Nikt nie spojrział nań nawet.

Zaszurał ciężkimi buciskami, biczyskiem w podłogę zastukał — jakby dla zwrócenia na siebie uwagi.

— Żymnooo... Wielgie żymnooo — powtórzył nieco głośniejszym głosem, ale zawsze z powściągliwą pokorą.

Byłem domyślniejszy, czy też tylko naiwniejszy od swych głuchych i milczących towarzyszy: rozumiałem, że przeziębły woźnica przymawia się o poczęstunek. Chętnie kazałbym mu podać herbaty gorącej z arakiem, kawał chleba z pieczenią... cóż kiedy był tak odpychająco brzydki, brudny, prostacki!

Odwróciłem się pośpiesznie do okna, aby nań nie patrzeć. Wytężonym, niecierpliwym wzrokiem upatrywałem książęcego łabędzia...

Do Joska przystąpił służący — za ramię silnie go ujął.

— Tu żydom nie wolno! — oznajmił głosem dobitnym.

— Nu, to sobie pójdę — rzekł woźnica z rezygnacją. I proszę państwo na brykie — dodał, obracając się do podróżnych. Czas jechacz!

Zaraz za Jabłonną szosa załamuje się pod kątem prawie prostym. Wskutek tego wiatr, wiejący nam dotąd w plecy, zaczął teraz nacierać z boku. Nie był to wiatr silny; w lecie nazwalibyśmy go „zefirkiem” i z rozkoszą pewnie nadstawialibyśmy mu rozgrzane twa-

rze — ale przy mrozie kilkunastostopniowym, każde muśnięcie tego zefirka równało się dotknięciu rozpalonym żelazem.

Towarzysze pochowali się z głowami w swe wielkie futra; mój kołnierz od szynela nawet całych uszu nie mógł zasłonić. A na bryce nie było już tak ciepło i przytulnie jak wpiers. Część podróżnych wysiadła w Jabłonnie i na siedzeniu potworzyły się luki.

Mniej dowcipkowano i mniej śmiano się. Gospodyni proboszcza dokuczała fluksya. Co pewien czas objawiała ona swe cierpienie jękiem przytłumionym, który z pod mnóstwa szali, szalików, chustek, chusteczek dobywał się jak z pod ziemi. Farmaceuta doradzał miłosiernie użycie jakichś kropli, gospodyni jednak, mając uszy zatkane watą, nie słyszała, co do niej mówi. Głowę tylko chwiała w prawo i lewo, oczy podnosząc do nieba.

Upewniony, że go osoba interesowana nie zrozumie, młodzieniec z kozią bródką i mysimi wąsikami, odważył się na radę następującą:

— Najusilniej zaś zalecam pani dobrodziejce napełnić dziurawy ząbek wodą zimną, następnie sięść na rozpalonej blasze u komina i nie wstawać, aż się woda w ząbku zagotuje. Próbę tę powtarzać wypada do trzech razy, poczem i fluksyę i ząbek dyabli wezmą...

Zerknął na mnie.

— Nieprawda, kolego?...

I dał nurka w swe olbrzymie barany.

Zrobiło się trochę weselej. Ten i ów zaopatrzył się w Jabłonnie w świeży zapas „pocieszycielki”, więc znów dało się słyszeć miłe dla ucha bulgotanie płynów, przelewane do gardła przez wąskie szyjki butelek.

Łyknął chudy, milczkowaty mieszczanin i butelkę chustką czerwoną otarłszy, podał dzierzawcy; dzierzawca przepił do farmaceuty i otwór szyjki osuszył rękawem od futra; farmaceuta pociągnął raz i drugi, chuchnął, językiem mlasnął, zagwizdał...

— Kolej na kolegę — zwrócił się do mnie zachęcająco. Nie zaszkodzi — słowo ap-tekarskie!...

Dałbym się pewnie skusić, ale mię zaleciał szynkowniany odór anyżówki.

— Dziękuję — rzekłem. — Prosty wódek nie używam.

Aptekarz podniósł brwi wysoko, kozią bródką kilkakrotnie poruszył i w milczeniu oddał butelkę mieszczaninowi.

— Rany boskie! Święta Weroniko!... — zaśpiewała w tej chwili gospodyni proboszcza, której nagle i słuch i mowa powróciły. — Jakże można delikatną chłopczyninę taką — Panie odpuść — śmierdziuchą częstować. Mam ja tu cości rarytniejszego. Mój dobrodziej panienki tem traktuje, jak na plebanię przyjdą.

Wydostała z torby podróżnej niedużą butelkę „Goldwasseru” i małą, rżniętą czarękę. Nalała gęstego, słodkiego trunku, w którym połyskiwały drobne płatki złota malarskiego.

— Niech pan student pije na zdrowie...

Barwa, zapach, a najbardziej podobno połysk iskrzących się w słońcu drobinek złota, podziały na moją wyobraźnię.

Sięgnąłem bez namysłu po czarękę — wypilem.

Zrobiło mi się cieplej — bardzom zaś już tego potrzebowałem.

— A co to pan student tak lekko? — spytała właścicielka „Goldwasseru”, obrzucając wymownym spojrzeniem mój szynel bardzo pięknie skrajany, ale mający wiatr za podszewkę. — Przeziębić się można, Boże uchwaj!...

— Eeee! — rzekłem z udaniem lekceważenia. — Nic mi nie będzie. Przyzwyczajony jestem. Zresztą — skłamałem dla ocalenia pozorów — mam pod spodem kożuszek.

Wydąłem policzki i dmuchnąłem przed siebie, jak to czynią ludzie, którym bardzo gorąco.

Pokiwała głową, oczy zmrużyła i zapadła w poprzednie, cichymi jękami przerywane, odrętwienie.

Mróż stawał się coraz większy; jechaliśmy zaś coraz wolniej. Żydowskie, słomą żywione, konięta wyczerpały już swój zapas energii i fantazyi, i nie biegly teraz, lecz szły stępa, potykając się, poślizgując.

Dzień, jak zawsze w grudniu, szybko szarzał i gasnął. Słońce rozczzerwieniło się, roziskrzyło; długie, ukośne smugi purpurowego światła ślizgały się po rażąco białej, szklistej powierzchni pustych, bezbrzeżnych pól...

W powietrzu wirowały, nakształt pyłu dyamentowego, maleńkie, śnieżne gwiazdeczki, które pod słońce mieniły się złotem i szkarłatem. Bawiło mię to wirowanie, bawiła gra kolorów; gonilem wzrokiem iskierki, wybiegałem spojrzeniem aż tam, gdzie linia horyzontu, luną zachodnią zaróżowiona, zlewała się z niebem, na które padał mleczny odbłask śniegu.

Pozwalało mi to zapominać o dojmującym zimnie, o szpilkowych ukłóciach mrozu, o tem, że jeszcze połowa drogi nie przebyta, a konie zwalniają wciąż biegu...

Tymczasem alkohol robił swoje.

Mieszczanin, milczący dotąd jak ryba, rozgadał się nagle i plótł trzy po trzy o swej żonie, o „fajerkasie”, o „żydach odszczepieńcach”, o „kwaterunkowem”, o prosięciu, które zagryzł pies komisarSKI. Zakończył głośnem śpiewaniem pieśni adwentowej.

Dzierżawca skulił się, uszu opuścił. Do jego właściwości należało widocznie to, co Francuzi *le vin triste* nazywają. W urywanych, melancholii pełnych zdaniach, uskarżał się na „psie czasy”, na „podłe ceny”, na „straszny ucisk obywatelstwa”, na „pijawki żydowskie”...

Farmaceuta stał się jeszcze gadatliwszy.

— Ja na miejscu pana dobrodzieja — dowodził rolnikowi — hodowałbym tylko barany. Z baranów największy profit. Profesor Hans Peter Piperment z Dyseldorfu dowiódł, że baran, byle miał kawałek soli do lizania i dużo wody do picia, niczego więcej nie potrzebuje. A teraz policz pan dobrodzieju korzyści. Strzygę barana — i mam wełnę, z wełny kort, z kortu ubranie dla siebie i dla dzieci. Ściągam z niego skórę razem z wełną — i mam pyszności futerko, takie, jak to oto, które mi krewniak przysłał na drogę. Doję go...

— Barana? — zadziwił się szlachcic, wytrzeszczając okrągłe oczy.

— Barana czy jego żonę, to w gruncie rzeczy wszystko jedno. Doję go zatem i mam mleko, a z mleka serki wyśmienite. Zarzynam wreszcie pocziwe stworzenie — wówczas opływam we wszystko. O baranich kotletach, o combrze baranim, mówić panu dobrodziejowi nie potrzebuję. Nasz sławny ksiądz Skarga pięknie o tem się wyrażał: „Niczem jest wszystko w porównaniu z wiecznością, i niczem wieczność w porównaniu z pieczęnią baranią z czosnkiem!” Prócz mięsa, mam tłuszcz. Niosę tłuszcz do apteki, sprzedaję go i zarabiam grrrrube pieniądze. Pozostają mi jeszcze nogi, rogi i kości. Kąpiel z nóg baranich jest zalecana niemowlętom; można też z nóg przyrządzać wyborną galaretę. Rogi kupuje odemnie fabryka guzików. Z kości wygotowuję klej, tak potrzebny w gospodarstwie. Myślisz pan dobrodzieju, że na tem koniec?... A skórka? a kiszeczki? Na skórce „Towarzystwo” drukuje mi liściki zastawne; z kiszeczek wyrabiają dla mnie struny, które naciągam na skrzypce i wygrywam sobie mazurki, sztajerki, obertaski, pocieszając się we wszystkich biedach i frasunkach..

W tej chwili bryka zatrzymała się przed dużym, murowanym budynkiem. Dojechaliśmy do Zegrza, który nazywano także, nie wiem dlaczego, Zagrobami. Ostatnia nazwa brzmiała zawsze w mych uszach żalobnie.

Lubiłem to miejsce, lecz nie lubiłem zajazdu w niem. Miejsce było piękne, dla bliskości rzeki — ukochanej, „błękitnej” Narwi mojej; zajazd wydawał się brzydkim, bo czuło go było zawsze wilgocią, stęchlizną, pustką.

Wszedłem do środka po to tylko, aby wypić, nie siadając, kilka szklanek osłodzonego ukropu z zapachem siana, poczem zaraz wybiegłem przed zajazd.

Słońce dogasało. Zbladła już jego czerwień; osłabła jaskrawość. Zmętniało, nakształt oka zaciągniętego kataraktą i pogrążyło się w mgłach kolorowych. Już można było patrzeć na nie bez zmrużenia powiek; już stało się olbrzymem powalonym, dogorywającym, niestrasznym nikomu.

Mgły na zachodzie były podobne szalom z gazy jedwabnej, z którymi igrają tańczące bajadery. Miały te szale barwę jutrzeńkową i barwę wody morskiej i barwę bzu świeżego, rozkwitłego. Zdawały się falować, nakształt lekko rozkołysanego morza i zdawały się, przy płasach niewidzialnych tanecznic, zbliżać do siebie, łączyć się, splatać ze sobą.

I zwolna wszystkie barwy tych wstąg smużystych, drżących, powiewnych zaczęły stapać się w jedną: w różowawy fiolet. Z początku ten fiolet był tylko chłodny; potem

z nadzwyczajną szybkością ciemniał i stygnął, przechodząc w tony stalowe, zimne, mrogilne, wreszcie stał się tak mroźny, że aż ból sprawiał oku i duszy.

Przymknąłem oczy w przerażeniu. Wydało mi się, że już tam, w górze, wszystko, wszystko zamarło.

Gdy je po chwili otworzył — jakaż zmiana! Cmentarna przed minutą pustka przestrzeni iskrzyła się miliardami światła, a każde światło było światem, a każdy świat wołał przez otchłanie eteru: „Żyj!”...

Półdziecinny, ale tem czulszy i bliższy Boga duch mój podniósł się do wysokości, na jakiej nigdy dotąd nie przebywał. Doświadczyłem uczucia, jakbym skrzydeł dostawał i ziemię tracił pod stopami...

— Panyciu! Jasek napiłby się śnapsa! — zaharkotano mi nagle nad uszami.

Wstrząsnąłem się jak lunatyk, gdy bosą stopą na prześcieradło mokre nastąpi, i — uciekłem do zajazdu.

A tam już farmaceuta mrugając powiekami, trzęsąc kozią bródką, rozsuwając i zesuważąc mysie ogonki wąsów, krzychał do dzierżawcy, co rozczzerwieniony jak piwonia, kiwał się sennie nad niedopitą szklanką herbaty z arakiem:

— A mnie co, panie dobrodzieju, po strzelbie! Strzelba, panie dobrodzieju, to przesąd, czasów barbarzyńskich zabytek! Dziś — patrz pan dobrodzieju, gdzie chowamy cały arsenał...

Rozpiął kurtkę, wsunął dwa długie, chude palce do kieszonki od kamizelki i wyciągnął małe, owalne pudełeczko.

— *Pilulae... Triginta duo...* — przeczytał, stukając palcem w wierzch pudełka. Trzydzieści dwie pigulek — to znaczy: trzydzieści dwa trupów. Trupów wilczych, lisich, niedźwiedzych, lamparcich — do wyboru panie dobrodzieju! Jedna pigułka na osobę. Popić wodą ocukrzoną i dyetę zachować.

Tamten nic już nie słyszał — zajęty całkowicie wybijaniem pokłonów przed stygnącą herbatą. Pokłony były coraz głębsze, coraz uniższe — aż wreszcie przy jednym z nich czoło pana brata uderzyło o brzeg stołu, a on sam zbudził się i na cały głos zawołał:

— Czy to już *Syrock*?

Wymawiał „*Syrock*” tak samo, jak „syr” — co, za moich lat chłopięcych, w tamtej okolicy nietylko nie należało do osobliwości, ale było jakby obowiązujące.

— Proszę państwo na brykie — czas jechacz! — obwieścił Jasek, stając w otwartych drzwiach z biczem wielkim w łapie, fioletowy od zimna, dygoczący jak w febrze.

O zmiękczenie kamiennych serc „pasażerów” już się tym razem nie kusił...

Na bryce znaleźliśmy się we czterech. Ubyła posiadaczka „*Goldwasseru*”, na którą w Zegrzu czekały konie proboszcza. Za to Jasek pozyskał dwóch brodatych, nadzwyczaj rozmownych, towarzyszków. Trójka na koźle rozgrzewała się gwałtowną gestykulacją oraz paleniem w wielkich porcelanowych fajkach zielska, zwanego tytoniem „*Trzech królów*” (czemu raczej nie „*Siedmiu złodziejów*”?).

Noc była zupełna, gdyśmy z miejsca ruszyli. Nadzwyczajna cisza wypełniała całą przestrzeń, która zdawała się nie mieć granic. W tej ciszy nadzwyczajnej każde uderzenie kopyta o zmarznątą ziemię równało się grzmotowi; każde skrzypnięcie śniegu pod kołami było prawie krzykiem.

Z góry, wytrzeszczone oczy gwiazd patrzyły na zalękną, oniemiałą ziemię z wyrazem niewysłowionej grozy i zimnej a okrutnej ciekawości. Takimi oczyma przyglądał się Neron męczonym w cyrku ofiarom.

Zaraz za Zegrzem trzeba było przebyć rzekę. Dziś stoi tam most żelazny, wsparty na wysokich filarach; wówczas drewniane przęsła mostu leżały prawie na powierzchni wody. Gdy woda obniżała się, most wraz z nią zapadał, jakby w przepaść. Ta przepaść wydawała się tem głębszą, że brzeg był bardzo wysoki.

Nocą, na dnie przepaści, widziało się drzące światło olejnej, wiatrem chwiejnej latarni, a przy niej, w brudno-żółtym kręgu światła, czarne, żywo poruszające się cienie. Dalej była otchłań, pocentkowana ułożonemi w zygzak, matowemi światłkami. Latem dochodził z dołu jęklawy plusk niewidocznej fali, z którym łączyło się niekiedy żalonne zawodzenie orylów, nocujących przy moście na tratwach.

Wjazd na most równał się wówczas skokowi w przepaść. Gdy już dopełniono wszystkich formalności i gdy z dołu nadbiegło hasło, że „szlaban” podniesiony, konie ruszały

z kopyta, a nabierając na stromej pochyłości wielkiego rozpędu, wpadały na most, jak wicher. Latarnia, ludzie przy niej, domek poborcy, słupy szlabanowe migąły, jak cienie — potem wszystko nagle nikło, uspokajało się, i nic już nie było słyszeć, prócz miarowego, powolnego dudnienia kopyt na drewnianym pomoście, oraz plusku wody, piosenki orylskiej i rechotania żab...

Szalenie lubiłem te zjazdy — choć łączyły się ze strachem okropnym, i choć przed każdym z nich zęgnąłem się, jakbym szedł na śmierć pewną...

I teraz odbyło się wszystko zwykłym trybem — z tą jedynie różnicą, że muzykę letniej nocy zastąpił przeraźliwy, dzwoniący, szczękający i zgrzytający klekot bryki żydowskiej.

Wstrząśnienie przy przeprawie oddziało na wszystkich dobroczynnie. Dzierżawca częściowo wytrzeźwiał, mieszczanin zaprzestał płaczących monologów, mnie zrobiło się cieplej, a farmaceucie powróciła werwa, które mróz zaczynał ostudzać.

Przez czas pewien było na bryce tak prawie wesoło jak przy wyjeździe z Warszawy. Mnie tylko udręczał cuchnący dym „drajkenigu”, który z trzech fajek i trzech gąb buchał, jak z sześciu kraterów.

Mój wstręt do Joska, w równym stopniu estetyczny jak nerwowo, wzrósł tak bardzo, że stał się prawie nienawiścią. Miałem nieledwie żal do Boga, że zepsuł harmonię świata, stwarzając tak brzydkie i tak zabójczą atmosferą otoczone, istoty.

Zrobiłem silne postanowienie unikania w życiu wszelkiego rodzaju Josków. Umyśliłem też nie wyruszać nigdy w drogę bez butelki z wodą kolońską w kieszeni.

Jechaliśmy umiarkowanym truchtem, wśród niezmiernych, białawych, słabo odbijających światło gwiazd, przestrzeni. Śnieg skrzypiał przeraźliwie, bryka dzwoniła, jakby samem szkłem napelniona. Mieszczanin, zaprzestawszy lamentów, milczał jak ryba. Dzierżawca rzucał co chwila zdania krótkie, energiczne, ale że był zakopany z głową i czapką w olbrzymich szopach, nie można było zrozumieć, co mówi. Nad wszystkim panował ostry, przenikliwy głos farmaceuty.

Ten nerwowo, balsamem peruwiańskim woniejący młodzieniec czynił wrażenie człowieka, który z długiego zamknięcia wyrwał się nagle na swobodę. Wiadomo, że na takich świeże powietrze działa jak wino. Cóż dopiero, gdy prócz powietrza podniecać ich zaczęły inne rozweselające czynniki...

Farmaceuta, podrygujący nieustannie na siedzeniu, to śpiewał półgłosem, to ustami trąbę i bęben naśladował, to wreszcie do Joska zwracając się, wykrzykiwał zachęcająco:

— Fur, fur, Mojsie!... Fur, fur!...

Na koźle gwałtowny szwargot na chwilę nie ustawał.

— Cicho żydy, niech sam rabin krzyczy! — upominał rozgadana trójkę, która na niego uwagi nie zwracała.

Aby tę uwagę zbudzić, przesiadł się bliżej kozła i Joska za pejs pociągnął.

— Mojsie! Mojsie! — wesoło zawołał — a czy ty słuchałeś o taki wypadek, że na Łowickie jarmark żyd koniowi uczeznął?

Ten koń miał felru małego

Że był trochę — ukradziowanego!

— Mnie nic do tego... — dokończył mimowolnym rymem woźnica, i jął na nowo szwargotać.

— Ho, ho, toś ty widzę wcale nie ciekawy! Ale jak ja ci zaśpiewam jeden delikatny kawałek, to zaraz uszy postawisz jak zajęć.

Odchrząknął, papierosa na śnieg cisnął, wykrzywił się zabawnie i zaśpiewał:

Radujcie się, zidziowie,
Dobrze szlichać w Wlesiowie.
Już szkolników śpiewają
Mesyasza witają..
Ej, wej! taj, daj dum!
Ach waj! bim, bom, bum!

Żydzi szturknęli się łokciami i trochę przycichli.

— Acha! to wam zakręciło koło serca. Posłuchajcież dalej:

Trzysta zidziech i dwieście
Zgromadził się bul w mieście.
Wszystkich krzyknął: — Ach! ach! ach!
I wystrzelił: — Pach! pach! pach!
Ej, wej! taj, daj, dum!
Ach, waj! bim, bom, bum!
Z wielkim pompem wjeździował,
Sam go rabin witował.
Bardzo smacznych potrawie
Postawił mu na ławie:
Rzodkiew czarne z lupinem,
Co go wędził w kuminem,
Parę śliwek i śledzia,
Cztery flaki z niedźwiedzia...
Witaj Lejbuś parsiwy!
Nasz miłośnik prawdziwy!
Niech z wieciora do rana
Żyje dziecko kochana...
Ej, wej, taj, daj, dum!
Ach waj, bim, bom, bum!...

Dowleliśmy się w ten sposób do Serocka.

Dopiero przy wysiadaniu poczułem, że mam jedną nogę skostniałą od mrozu. Długom rozcierać ją musiał, zanim wróciła mi w niej władza.

W Serocku czekał na „gości” znany dobrze pokoleniom podróżnych właściciel zajazdu z „numerami”, mąż niezłomnych przekonań, który latem i zimą, w piątek i świątek, o południu i o północy, na zapytanie: „co jest do jedzenia?” — odpowiadał twardo:

— Jest pieczeń z kapustą.

Mówiono, że ogromny zapas tej pieczeni z kapustą nabył wraz z zajazdem od swego poprzednika, i przez lat kilkanaście częściowo go wysprzedawał.

Był to zarazem eks-obywatel i eks-krawiec, człek sztywny, mrukliwy, z wielką łysą głową, nieruchomo na karku osadzoną. Pod nosem miał dwie kępki rudawo-siwych, szpecinowatych włosów, które nieustannie szczoteczką przeczesywał. Ponieważ dopełniał tego za „bufetem”, dokąd brudna dziewczka przez drzwi uchylone wsuwała talerze z gorącymi „porcyami”, zawsze pieczeń, prócz kapusty, przysmaczana była jakimś rudawo-siwym dodatkiem.

Farmaceuta był widocznie spraw tych świadomy, gdyż, zamawiając jedzenie, ze szczególnym naciskiem rozkazał:

— Włosy oddzielnie!...

Podwójny tytuł eks-krawca i eks-obywatela wydawał się niejednemu zagadką. Żadnej jednak zagadki w tem nie było. Krawiec na rzemiośle swem w Warszawie prowadzonym, dorobił się dużych pieniędzy, a mając przez długie lata do czynienia z wszelkiego rodzaju „stanami”, wyobraził sobie, że przy odpowiednim majątku i stan obywatelski będzie doń pasował. Znaleźli się tacy, co go utwierdzili w tem przekonaniu i właścicielem dóbr zrobili. Wyszedł z nich rychło „o kijku”, a za okruchy fortuny, cudem ocalone, zrobił się właścicielem zajazdu z numerami oraz niewyczerpanych zapasów pieczeni z kapustą.

Jako pamiątka po „obywatelstwie” pozostała mu jedynie chęć (daremną, niestety) zadzierania wąsów do góry. Warsztatowych nawyknień zachował więcej, a objawiały się one głównie w sposobie obchodzenia się z „gośćmi”.

Gdy zbliżał się do kogoś z zapytaniem: „Czem mogę służyć?... jest gotowa pieczeń z kapustą”... czynił to tak, jakby miał brać miarę na surduty lub kamizelkę. Podawał jedzenie ruchem szybkim, energicznym, jakby wbijał igłę w twardego materyał: przy zabieraniu zaś próżnego talerza, gwałtownie cofał ramię, jakby z „gościa” nic długą wyciągał.

Znałem ten zajazd lepiej, niż wnętrze swej teki uczniowskiej.

Dziś jeszcze mógłbym powiedzieć, jakie rośliny doniczkowe zieleniły się w niewielkich okienkach jego izby gościnnej, długiej, wąskiej, niskiej, do której wchodziło się „bokiem”, z bramy brukowanej, po kilku, również brukowanych, stopniach. W samym

końcu stał niewielki, żółty „bufet”; na nim, pod szklanymi pokrywami, schły i pleśniały odwieczne przekąski. Za plecami eks-krawca, podczesującego rude wąsy, widać było szafeczkę oszkloną z butelkami, które on nieustannie to wyjmował, to wstawiał napowrót.

Obok był „pokój damski”, znacznie mniejszy, z okrągłym stołem na jednej nodze i meblami wyścielanymi — razem poczekalnia przejezdnych niewiast i bawialnia gospodarstwa. Odpoczywały tam kobiety, podróżujące w towarzystwie dorosłych i dorastających panienek oraz zupełnie małych dzieci. Przez uchylone drzwi, widziało się zawsze piramidy pakunków, słyszało głośnie, cienkie śmiechy i płacz niemowląt. W pokoju damskim czyniła posługę żona eks-krawca; nie zanoszono tam nigdy nic więcej, prócz herbaty, kawy białej i bułeczek z masłem.

Dość lubiłem i ten zajazd i jego właściciela. Gdyby mię jednak spytano: co mi się tam najbardziej podobało? odrzekłbym bez namysłu, że... rycina wisząca wprost środkowego okna, obok drzwi, zawsze zamkniętych i niewiadomo dokąd prowadzących. Ta rycina była kolorowym, poczerniałym przez czas, sztychem angielskim, wykonanym podług rysunku Orłowskiego. Przedstawiała cesarza Pawła, odwiedzającego Kościuszkę w więzieniu.

Za każdą bytnością w zajazdzie długie chwile przed starym sztychem wystawałem. Tym razem jednak nieszczęsny bohater i nieszczęsny monarcha napróżno dawali mi znaki porozumienia.... Nie śpieszyłem z przywitaniem. Niestety! zbyt jasno oświetlała ich lampa wisząca — ja zaś rozmyślnie w cień się chowałem. Pocóż eks-obywatel, dobrze znający mnie i moją rodzinę, miał wiedzieć, że tę podróż odbywam z brodatym i pejsatym Joskiem!

Zająwszy miejsce przy stoliku, najbardziej od ogniska światła oddalonym, zażądałem herbaty i pieczeni — „bo głód był jeszcze sroższy od żalości”. Ale choć kołnierz podniosłem i głos zmieniłem, poznano mię.

— Cóżto, bez mamy?... — usłyszałem inkwizycyjne zapytanie gospodarza, stawiającego przedemną swą najdoskonalszą, bo jedyną potrawę.

— Phi! — odparłem, piersi wyprężając. — Czy to ja dziecko, żebym bez matki ruszyć się nie mógł?

Wyglądałem zaś nad podziw dziecinnie.

— Mroziak mamy petersburski — ciągnął tamten, szcztoczeki dobywając.

Przy tych słowach prześwidrował mię na wylot doświadczonym wzrokiem eks-krawca — tym wzrokiem ostrowidzowym, który w jednej chwili dostrzega i oszacowuje nie tylko krój, materyał i robotę ubrania zwierchniego, ale i jego podszycie oraz wszystko co znajduje się pod niem — do kamizelki, koszuli i wełnianego kaftanika włącznie.

— Czy nie za lekko? — spytał, sumując dopełnione spostrzeżenia i wniosek z nich wyciągając.

Namyślał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz tylko wąsy szcztoczką podrapał i odszedł w milczeniu do innego stolika

W Serocku ubył dwóch towarzyszków. Pierwszym, zupełnie mi obojętnym, był milczący mieszczanin. Ledwie bryka wtoczyła się na wyboisty bruk miasteczka, zniknął mi z oczu, w mrok wsiąknął — przepadł.

Wkrótce po nim opuścić nas miał niezrównany farmaceuta, który jednak tymczasem zawiązał pieczeń z kapustą, aż mu się uszy trzęsły. Właśnie skórką chleba wycierał resztki sosu z talerza, gdy za oknami ozwała się trąbka pocztowa.

Połknął skórkę, uszu nadstawił, uśmiechnął się tryumfująco.

— To na mnie! — wyrzekł, posyłając znaczące spojrzenie obecnym. „Ekstra!”... czy może być co rozkoszniejszego? Niema pięciu minut, jak pchnąłem żydka na pocztę, już pocztylion zajechał. To się nazywa punk-tu-ał-ność! Dwie są tylko na świecie instytucje tak punktualne: poczta i — apteka.

Odszukał mnie wzrokiem w ciemnym kącie i spytał.

— Nieprawda, kolego?

— Pan łaskawy do?... — zagadnął gospodarz, odbierając od farmaceuty zapłatę i szybkim ruchem wyciągając zeń nitkę niewidzialną.

— Do Trznadlego Ogonka.

— Do Ogonka?... Nie znam.

— Nic nie szkodzi. Stąd trzy wiorsty i kawałek. Przeleć w dziesięć minut. Niema jak ekstra!

— Pan łaskawy żartuje. A kolej?

Młodzieniec rozparł się i spojrział na eks-krawca z wysoka.

— Kolei nie uznaję — oświadczył tonem stanowczym. — Kolej mój panie — to półśrodek, a ja gardzę półśrodkami. Podług mnie, trzy są tylko możliwe środki podróży: ekstra, hukolot i pstryko-elastyk.

— Pan łaskawy powiedział?...

— Hu-ko-lot i pstry-ko-e-la-styk — wyskandował farmaceuta, wydostając z kieszeni świeży papieros.

Gospodarz wysunął się z za bufetu.

— Nie słyszałem dotąd o tych wynalazkach — rzekł, podając młodzieńcowi płonąca zapalną, a przy tej sposobności wbijając weń swą ostrą, dla zwykłych oczu niedostrzegalną, igłę.

— Wcale mnie to nie dziwi. O czym w Honolulu już zapomniano, to dla Serocka nowość niesłychana. Tymczasem australczycy nie podróżują dziś inaczej, jak tylko w hukolotach.

— I cóż to takiego, panie najłaskawszy?

— Armata, panie najszanowniejszy. Otwór tej armaty jest tak duży, aby pomieścić mógł kulę tej wielkości, co zwykły omnibus pocztowy. Kula ma wewnątrz próżną, miękko wysłaną. W chwili odejścia pociągu, pakują pasażera do kuli, kulę do armaty i — pafl... pasażer kicha na jednej stacji, a na drugiej mówią mu już: na zdrowie!

Eks-krawiec zatrzymał w powietrzu niesioną do wąsów szczoteczkę i usta otworzył — ale nic nie powiedział.

— Co się zaś tydzie pstryko-elastyka — kończył tamten — wynalazek ten nie zdobył sobie jeszcze uznania, na jakie zasługuje. Szkoda! jest bowiem nadzwyczaj prosty i praktyczny. Wyobraź sobie pan dobrodziej grubą, ale to bardzo grubą, linę z gumy elastyki, zwanej inaczej „gumulastyką”. Jeden koniec tej liny jest przytwierdzony na stacji A., a drugi, za pomocą odpowiednich przyrządów, wyciągnięty aż do stacji B. Na tej ostatniej, przyczepia się do niego wagon z pasażerami, poczem, na znak dany przez zawiadowcę, konduktor linę puszcza, i — pstryk!...

Za oknem poczytliion zatrąbił powtórnie, przerywając młodzieńcowi wykład.

Wstał, odział się we wspaniałe barany, zielony kapeluszek przed zwierciadłem zawiadacko nasadził. Następnie zabrał się do żegnania towarzyszy podróży.

Drzemiący dzierzawca został przezeń zbudzony i w oba policzki „siarczyście” ucałowany. Przyśniło mu się pewnie, że na jarmarku w Pułtusku odnawia przyjaźń z dawno niewidzianym sąsiadem.

Potem farmaceuta do mnie przystąpił.

— Żegnam kolegę! — wyrzekł, silnie wstrząsając swoją rękę. — Żegnam i życząc dobrego apetytu na kluski z makiem.

Przymrużonemi oczyma spojrział na moją zwierzchnią, wiatrem podszytą, odzież.

— Kolega, widzę, hartujesz się. To bardzo chwalebne, ale — radzę nie przesadzać. Czasem z takiej sztuki można dostać feleru w płucach albo w żółdeczku. O nóżkach i krzyżyku nie wspominam, bo na to dla kolegi czas jeszcze.

Zamilknął nagle, ręki mojej nie puszczać. Zamyślił się przytem tak samo, jak przed chwilą właściciel zajazdu. W tem zamyśleniu, dziwnym wzrokiem to po szynelu moim wodził, to obracał go na dzierzawcę, który miał ze mną dalej jechać, to wreszcie zdawał się oczami próbować grubości futer, których kilka przy dzierzawcy leżało.

W tej chwili wydał mi się innym, niż zwykle — poważnym.

Nagle bródka kozia zadrgała, mysie ogonki rozsunęły się...

— Na wypadek, gdyby kolega zanadto przeziął — rzekł głosem zwyczajnym, w którym odzywało się zawsze jakby powstrzymane parskanie — proszę przyjść do mnie na rozgrzewkę. Ale nie prędzej, niż po Trzech Królach. Wcześniej do domu nie wrócę. Adres mój: Warszawa, róg Podwala i Placu Zamkowego, apteka. Dam koledze kropli własnego wynalazku, które nazwałem „Kroplami wiecznie młodej nieśmiertelności”. Działają cudownie. Przed rokiem, napiła się ich przez omyłkę dziewięćdziesięcioletnia matrona, i — wiesz kolega co? W tydzień później wyszła za mąż za swego prawnuka, a dziś ma śliczną córeczkę, której jest zarazem: matką i pra-pra-babką. Do widzenia!

Potrząsnął rękę moją tak silnie, jakby mi ją z ramienia chciał wyrwać, i wyszedł, z wielkim hałasem drzwi za sobą zamykając.

Po chwili usłyszeliśmy dziarskiego krakowiaka, wygrywanego na trąbce i stopniowo cichnącego w oddaleniu.

Josek nie zjawiał się; postanowił widocznie urządzić tu dłuższy postój. Po wielkiem zimnie, ciepło izby gościnnej oddziało na mnie w sposób zwykły: osłabiło i rozmarzyło. Zdjąłem szynel, wyciągnąłem się na dwóch stołkach — zasnąłem.

Towarzysz mój zrobił to już od dawna — z tą różnicą, że nie dwa, lecz cztery stołki za łóżko mu służyły.

Spąłem długo; sny miałem przyjemne. Zbudziło mię silne kołatanie w okienicę, któremu towarzyszył chrapliwy, niewyraźny bełkot. Rozróżniłem z trudnością słowa: „siadacz...” „jehacz...”

Dreszcz mię przebiegł; przetarłem oczy, wzdrygnąłem się. Izba wyglądała ponuro. Lampę wiszącą u powały dawno już zgaszono; tliła się tylko na bufecie mała, nocna lampka, wydzielająca więcej kopcju, niż światła. Potworne, ruchome cienie drgały na ścianach i podłodze. Było zimno; powietrze przesyciła wilgoć, zbutwiałość.

W izbie nie było nikogo, prócz mnie i dzierżawcy. Gruby szlachcic spał w najlepsze, wydając nosem i ustami niskie, głębokie tony trąby.

Przez chwilę zdawało mi się, że to sen. Zamknąłem oczy i ułożyłem się napowrót, aby spać dalej. Ale w tejże chwili drzwi skrzypnęły, do izby wtoczył się rzeczywisty Josek, wzywając głosem chrapliwym „na brykie”.

Zrobiło mi się niewymownie smutno. Więc znów wychodzić mam na mróz i noc, kostnieć od zimna, znosić niewygodę, cierpieć towarzystwo wstrętnego chałaciarza, cuchnącego cebulą i tytoniem ordynarnym? Gdybyż to chociaż było niedaleko — ale do P. jeszcze trzy mile, trzy okropne mile, najdłuższe ze wszystkich, jakie mi kiedykolwiek w życiu przebywać wypadło!

Rozzaliłem się nad samym sobą — omałom nie rozpląkał się, jak dziecko. Była chwila, gdym chciał dać za wygraną wszystkiemu, i do Joska, do dzierżawcy, do właściciela zajazdu, do świata całego powiedzieć stanowczo:

— Róbcie ze mną co chcecie; zabierzcie wszystko, co mam przy sobie: popsuty zegarek srebrny, portmonetkę z dziesięcioma złotemi, walizkę z brudną bielizną, ale — spać mi dajcie i nie budźcie mnie aż na sąd ostateczny!

Ten protest nerwów znużonych i instynktu zachowawczego objawił się na zewnątrz tylko długiem, jęklivem ziewnięciem.

W kilka minut później siedziałem już na bryce Joskowej, obok dzierżawcy, w połowie zaledwie rozbudzonego. Na koźle, prócz woźnicy, nie było nikogo.

Mróz wzmógł się. Poznałem to zaraz po wyjściu z zajazdu po wielkiej trudności oddychania. Atmosfera wydała mi się nalana płynem szklistym, który z wielkim jedynie wysiłkiem można było wciągać w płuca.

Była godzina trzecia lub czwarta po północy. Gwiazdy straciły poprzednią jaskrawość, ciemny granat nieba rozjaśnił się, jakby spłowił — zbliżała się chwila wschodu księżyca.

Na bryce, tak dotąd gwarnej, panowała teraz cichość zupełna. Prócz skrzypienia kół, przerywały ją dwa tylko głosy: sapanie dzierżawcy, zakopanego w płaszczu szopowym i parskanie koni, którym szron nozdrza zapychał.

Josek ani fajki nie palił, ani majufesów nie nucił, ani do koni nie przemawiał. Skulony w milczeniu na swym twardym, sieczką wypchanym worku, wydawał się bryłą martwą, bezkształtną, tchnącą wyrazem bezgranicznej apaty.

Po raz pierwszy od chwili wyjazdu, doznałem uczucia strachu; po raz pierwszy tknęła mię myśl, że ta wyprawa skończyć się może — nieszczęściem.

Dotąd, w walce z mrozem, miałem różnego rodzaju posiłki — teraz stałem naprzeciw niego sam jeden, najzupełniej bezbronny. On to natychmiast ocenił. Zaledwie ruszyliśmy z miejsca, chwycił mię, jak w kleszcze, ścisnął mocno i dał poznać, że — nie puści.

Choć jechało nas trzech, czułem się zupełnie samotny. Jeśli Josek był bryłą, wyrażającą apatyę, to szlachcica można było przyrównać do zakłętego w bryłę samolubstwa. Od tych dwóch brył szło na mnie zimno duchowe, gorsze jeszcze od fizycznego.

Na szerokiem siedzeniu, mogącem pomieścić cztery osoby, ja i towarzysz mój zajmowaliśmy miejsca krańcowe. Pomiędzy nami leżała sterta futer. Była tam niedźwiedziowa

algierka dzierzawcy, — strój świąteczny, „od miasta”, który zaraz po przejechaniu rogatek został zastąpiony wytartymi szopami — nowy, krótki kożuszek, używany przy gospodarstwie i stara skóra barania, do okrycia nóg służąca.

Jedno z tych futer mogło mnie być zbawić — tyle jednak miałem z nich pożytku, co Tantal z legendowych jabłek. Mimo to, ciągnęły mnie magnetycznie. Wpatrywałem się w nie z uporem rozpaczliwym, a ból i żalność rozdrażniała myśl: — Jak rozkosznie byłoby zanurzyć się w ciepłym puchu tych niedźwiedzi i — roztajać!...

Ale nawet widok ich miał mi być wkrótce odebrany. Szlachcic na wyjeździe z Serocka zapowiedział, by wysadzono go w karczmie przed Łubienicą, gdzie czekać nań miały jego własne „kunie”.

Być może, iż gdybym przemówił do tego grubego człowieka głosem płaczącym, wyznał mu, jak bardzo zmarzłem i o współczucie go prosił, pozwoliłby mi okryć się przynajmniej swą wyszarzaną baranicą. Ale mój estetyzm, nawet pod groźbą śmierci, zrobić tego nie pozwalał.

Kostniałem więc z wyniosłą pogardą wszelkiej, zarówno fizycznej, jak i moralnej brzydoty. Jeśli to było bohaterstwo, to zwracały na nie uwagę chyba tylko gwiazdy, przypatrzące mu się z wysoka gasnącymi oczami. Jaki wszakże był ich sąd o dumnym, sny fantastyczne rojącem, dziecku? Przyklaskiwały mu, czy też zeń szydziły? Może tylko litowały się nad nim — lekceważąco?

Zajmowały mnie te pytania i starałem się znaleźć na nie odpowiedź. Pragnąłem wogóle wejść w bliski stosunek z gwiazdami, a o ziemi zapomnieć. W tej chwili ziemia mi bardzo dokuczała.

Mróz kłuł mię tysiącami igieł, zaczynając od palców u nóg, potem obejmując całe stopy i w górę się posuwając. Pod działaniem tego kłucia, stopy, a następnie i nogi do kolan traciły stopniowo czucie i stawały się podobne szczudłom drewnianym. Aby je bronić od zupełnego zdrętwienia, uderzałem stopami w dno bryki, słomą wysłane. Słoma kruszyła się i rozstępowała; z pod słomy wychylały się twarde, zimne deski, oraz źle przymocowane i podskakujące pakunki.

Jednocześnie mróz nacierał na mnie od góry i uderzał w twarz, niedostatecznie osłonioną. Ból, sprawiany przezeń uszom, nosowi, brodzie, policzkom, już nie dawał się przyrównywać do kłucia drobnymi ostrzami. Doświadczałem poprostu wrażenia, jakby w moje ciało zatapiały się, raz po raz, ostre zęby.

Trwoga moja wzrastała i zaczynała przybierać rozmiary tragiczne. Niedawno właśnie czytałem opowiadanie Andersena o „Dziewczynce z zapalkami”. Stała mi ona teraz przed oczami, jak żywa. Widziałem ją skuloną za węglem kamienicy, siną od mrozu, nędzną i — uśmiechniętą. Srebrne gwiazdki śniegu iskrzyły się na jej jasnych, rozplecionych włosach; oczy wielkie, błyszczące, patrzyły z natężeniem w niebo; twarz całą opromieniał wyraz wielkiej, nadziemskiej szczęśliwości. Przy niej, na śniegu, dopalało się pudełko zapalek, a dym wznosił się wysoko i zwijał w kłęby fantastyczne. Z kłębów wynurzyły się główki aniołków oraz miłośnie wyciągnięte ramiona przyzywającej ją do siebie babki.

— I ja zmarznę — pomyślałem z goryczą — ale śmierć moja nie utworzy tak potężnego obrazka...

Ta uwaga do żalu dodała gniew. Roilem zawsze o śmierci pięknej, którą możnaby opiewać dźwięcznymi wierszami. Gniew jest bodźcem dodającym energii. Zawziąwszy się na wroga, postanowiłem nie dać mu się. Jąłem żwawo poruszać nogami, rękami, głową, całym tułowiem. Rzucąłem się na bryce, jak opętany.

Rozgrzało mię to cokolwiek, ale zmęczyło. Uczulem osłabienie, a wraz z niem sennaść. Gwiazdy, w które wpatrywałem się nieustannie, również mrużyły oczy, zasypiając i mnie nęcąc do spoczynku. Zdawało mi się, że wszystko dokoła do snu się układa...

Opierałem się z wysiłkiem temu pociągowi, wiedząc jak jest zdradziecki. Strzegłem się zwłaszcza zamykać oczu. Aby myśl utrzymać w natężeniu, skandowałem głośno wiersze z „Enejdy”. Wybijałem średniówkę tak dobitnie, że mój dobry nauczyciel Gomolewski dałby mi za nią piątkę i jeszcze w nagrodę obrzucił z ponad okularów swem bystrem, życzliwym i jakby ciepłym spojrzeniem.

Jednak w mózgu zaczynało mi się zwolna mącić. Rzeczywistość i urojenie zespały się chwilami tak silnie, że już ich rozróżnić nie mogłem. Myśli moje zataczały kręgi, to znów biegly po liniach spiralnych — stawały się barwami, światłami, dźwiękami...

Otrzeźwiło mnie silne wstrząśnienie. Bryka stanęła; wyciągano z podemnie futro dzierzawcy, o które wsparłem się bezwiednie. Ciemna bryła, zasłaniająca mi po lewej ręce kawał widnokręgu, zniknęła z siedzenia.

Usłyszałem silne, ale jakby zmatowane huknięcie:

— Wa-lek!... ku-nie!...

Ozwało się szczekanie psa, potem twarda, chłopska mowa.

Głosy te nagle ścichły, jakby pod ziemię zapadły. Bryka znów zaczęła dzwonić, skrzypieć, zgrzytać. Jechaliśmy dalej.

Wschodził księżyc. Srebrna poświata ukazywała się na niebie i ziemi. Wytężyłem wzrok i myśl, aby wszystko widzieć i ze wszystkiego zdawać sobie sprawę dokładną.

Josek jeszcze bardziej skulił się, i był tak nieruchomy, jak wór, na którym siedział. Starą szmatą owiązał głowę, a ten dziwny strój czerniał na niebie liniami ostro łamiącemi się, jak kaptur mnicha. Wydawał mi się teraz postacią prawie fantastyczną, obcą i straszną.

Co pewien czas dobiegało mię ciche, drżące, przeciągłe jęczenie. Czy to bryka ten głos żałosny wydawała? — czy nadbiegał on z lasów, spływał z powietrza lub też dobywał się z piersi Joskowej?

Nie byłem w stanie rozwiązać tego pytania.

Oto Łubienica. Długie, prostolinijne, murowane budynki stoją na zwykłych miejscach. Nie ludzie w nich mieszkają, lecz barany. Ciepło im być musi pod dachem, wśród grubych murów, przy wrotach szczelnie zamkniętych...

Oto kapliczka na wysokim wzgórzu, tuż nad drogą. W świetle wschodzącego księżyca, wydaje się rażąco białą. Prosta i smukła, przedstawia podobieństwo do placówki obozowej — a także do widma o niepewnych, rozplywających się zarysach.

W tej kapliczce, z poza szybki zakurzonej, wyziera śniada twarz „Częstochowskiej”. Przypomina mi to, że niedawno, za jej przyczynieniem się, powstałem ze śmiertelnej niemocy. Gdybyż i teraz miłosierną dla mnie być chciała!...

Za kapliczką wzgórze obniża się i droga bieży spadzisto. Niewielka to pochyłość, i zwykle bardzo szybko zjeżdża się z niej na zupełnie równą płaszczyznę. Teraz jednak tej pochyłości i temu zjeżdżaniu końca niema. Bryka, wśród przeraźliwego chóru szklanych i metalicznych dźwięków, stacza się w dół, coraz niżej i niżej, a dna dosięgnąć nie może...

Liczę w myśli sekundy, z sekund układam minuty, z minut kwadransy. W rachunku myślę się nieustannie. Usiłuję omyłkę naprawić, wracam do początku — i brnę w gorszy jeszcze zamęt. Nudzi mię to wreszcie; rzucam rachunki, daję za wygraną wysiłkom myśli. Wolę marzyć...

Marzenia moje byłyby rozkoszne, gdyby nie ból dotkliwy, odzywający się w całym ciele. Na ruchy energiczne nie mam już siły; kurczę się tylko i kulę, tak samo prawie, jak Josek. Spać mi się chce okropnie. Myślę, że byłoby rzeczą rozkoszną: zsunąć się z siedzenia na dno bryki, zagrzebać się w słomie, oczy zamknąć, zapomnieć o wszystkim.

Czuję, że sen uspokoiłby bóle przez mróz sprawiane. Pozwoliłby także spokojnie i przyjemnie pomarzyć. Ale wiem, że z tego snu jużbym się więcej nie zbudził.

Nie zsuwam się na dno, pomiędzy słomę, bo byłoby to nieestetyczne; nie chcę też zamykać oczu na zawsze, bo jeszcze mam na ziemi wiele do oglądania. Prócz matki, czeka mię w domu brat ukochany, brat nie ze krwi tylko, lecz i z ducha, czekają egzaminy z wymarzoną nagrodą, czeka tyle książek nieprzeczytanych, tyle snów wołających o ziszczenie...

Mimo wszystko — zasypiam.

Zasypiam z uczuciem strachu okropnego, który może nawet wydobywa mi z piersi jęk głośny.

Takim samym snem zasypiałem przed dwoma laty, w pewną noc marcową, nie mogąc i nie chcąc odpowiadać na wołania zebranej przy łóżku mojem rodziny. Ale wówczas strachu nie doświadczałem żadnego — owszem, czułem błogość niewymowną. Wielkie też było moje zdziwienie, gdy, po przebudzeniu, ujrzał wszystkich łzami zalanych i witających mnie, jakbym z tamtego świata powracał. Później dopiero powiedziano mi, że z wyroku lekarzy owa noc miała być dla mnie — ostatnią...

Teraz jednak wiem, że już się nie przebudzę.

Otacza mię chaos, mrok. Widzę rzeczy, których plastycznie odtworzyć niepodobna; słyszę dźwięki, których nie zna skala tonów ziemskich; doświadczam uczuć, na których odmalowanie mowa ludzka daremnieby się siliła.

Wreszcie przestaję widzieć, przestaję słyszeć, przestaję czuć.

Obudziłem się.

Obudziłem się nagle, w jednej chwili, bez żadnych przejść pośrednich od snu do jawy. Wahadło, nieruchomo wiszące, zostało przez kogoś czy przez coś popchnięte i zegar napowrót iść zaczął.

Było mi dobrze, rozkosznie, a przede wszystkim — ciepło. Doświadczalem błogich uczuć człowieka, który, miotany długą burzą morską, znajduje wreszcie ziemię pod stopami i słońce nad głową.

Ciekawem spojrzaniem powiodłem dokoła. Wszystko pławiło się w olśniewająco białym, błyszczącym świetle. Niebo i ziemię zalewał księżyc falami płynnego srebra. Gwiazdy, co do jednej, roztopiły się w tem srebrze.

Bryka toczyła się szybko. Na koźle nie było Joska. Biegł on przy bryce, poganiając konie. Butami podkutymi mocno uderzał w zmarzłą ziemię, nogami gwałtownie przebierał, w dłonie chuchał, rękami bił się silnie po bokach.

Josek miał na sobie tylko krótki kaftan watowany, a na głowie, oprócz czapki, podartą szmatę. Co zrobił ze swym grubym, ciepłym chałatem, podszytym tu i ówdzie wytartymi skórkami zajęczemi?

Blask księżycy, szybkość jazdy, żwawe ruchy woźnicy podnieciły mnie, rozweseliły. Zapomniałem o przebytych dolegliwościach i o niedawnej trwodze śmiertelnej. Rozglądając się po znanej dobrze okolicy, badałem, jak daleko jeszcze do domu. Wynik badania był pocieszący: na prawo i lewo błyskały chaty, kościółki, karczemki, zapowiadające bliskość miasta.

Zwróciłem wreszcie uwagę na siebie.

Nie zajmowałem już poprzedniego miejsca. Siedziałem wygodnie na dnie bryki, na dwóch pękach słomy, których tam wpierv nie było. Oslaniała mnie całego, z nogami, rękami i głową, ciepła oponcza, którą niewiadomo kto okrył mnie i otulił.

Nie myślałem, nie chciałem myśleć, ani o tem, ani o niczem zgoła. Nasycanie się rozkoszą istnienia, jakby po raz drugi mi darowanego, starczyło mi za wszystko. Zresztą zajęty byłem marzeniami o domu, o gwiazdach, o książkach, o poezyi...

Szybko biegły chwile; szybko mijały słupy wiorstowe.

Księżyc pobladł i zmalał; na wschodzie zrzędniały mroki. Niebo i ziemia ze srebrnych stały się matowo białe.

Otóż i Kleszewo, chowające się latem w wieńcu, a teraz tylko w różgach bezlistnych wierzby i olszyny...

Oto Kacice, ze swym białym, pustelniczym kościółkiem, otoczonym lipami staremi.

Purpura wschodzącego słońca zalała ziemię. Pod kołami zaturkotał bruk wyboisty.

Jeszcze chwila — bryka stanęła przed domem moich rodziców. Zerwałem się lekko, wesoły i odrzuciłem przykrywającą mnie oponczkę. Odrzuciłem ją ze wstrętem, bom poznał przy słońcu, że to był — chałat Joskowy.

W minutę później, kołatałem już do drzwi swego domu. Zbudzonej służącej kazałem znieść rzeczy swe z bryki i zaraz rzuciłem się do miski z letnią wodą i do mydeł pachnących.

Joskowi nie powiedziałem nawet „Bóg zapłać”.

Nie spodziewał się on zresztą tego i — nie liczył na to.

A jednak mówią, że oni zawsze na coś liczą...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chałat/>

Tekst opracowany na podstawie: Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej, Skład Główny w Księgarni E. Wende i Spółka, Warszawa 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0237-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.